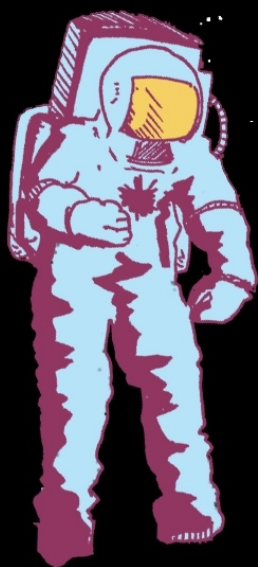


Bohdan

PETECKI



**PIERWSZY
ZIEMIANYN**

BAJKA TOTALNA

Bohdan Petecki

PIERWSZY ZIEMIANIN
(BAJKA TOTALNA)

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-08-9

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Iskry, Warszawa 1983

Projekt okładki: Bartek Biedrzycki

Rozdział I

Wiktor Lambert trącił mnie lekko w ramię.

– Spójrz tylko – powiedział ciepłym, rozradowanym głosem. – Kirsti wygląda jak dziewczynka w pierwszym dniu wakacji.

Odwrociłem się i zamiast na Kirsti, spojrzałem wprost w roześmiane oczy Wiktora. Zwykle jasnoniebieskie, teraz w oprawie kredowobiałej twarzy, świeciły jak szafiry. Oswoił się z tą naszą jedyną w swoim rodzaju bladością, jaką kosmos naznacza ludzi, którzy zbyt długo obcowali z jego ślepą pustką, zaczęliśmy ją dostrzegać dopiero tutaj, po zetknięciu z miejscową załogą, tak często uciekającą stąd na słoneczne, ziemskie weekendy.

– Przecież naprawdę zaczyna wakacje... jak ty i ja – zrewanżowałem mu się uśmiechem.

– Dwa tygodnie... – pokiwał głową i wzruszył ramionami. – Dwa tygodnie! Piętnaście dni... po sześciomiesięcznej mordędze w przytulnej, przeklętej, plamentowej klatce. Niby cała wieczność, ale ani się obejrzymy, a już znowu wylądujemy w tej pięknej sali. Chociaż – przybrał wyraz zabawnej powagi – może zafundują nam pożegnalny rejs bez przesiadki na Lunie? Kurs bezpośredni: Alpy – orbita Marsa – Wega i od razu hop! – poza horyzont zdarzeń! – zaśmiał się.

– Alpy? – powtórzyłem z mimowolnym zdziwieniem. Wiedziałem, że pochodzi z Europy, jednak ilekroć wspominał o swoim domu, zawsze wymieniał Instytut Inżynierii Klimatycznej nad Morzem Północnym, gdzie jego rodzice opiekowali się kompleksem sanatoriów geobionicznych i terenami upraw na obu brzegach Cieśniny Duńskiej.

– Alpy – przytaknął. – Widzisz, wisząc pod jakąś paskudną przewieszką, popatrzę za siebie w dół i będę ryczał z radości na myśl, że mogę w każdej chwili wrócić, ułożyć się wygodnie w leżaku i spoglądać spod przymkniętych leniwie powiek na jeziora, drzewa, na górskie wioski zamieszkałe przez normalnych ludzi. To będzie wspaniałe! A ty?

W ciągu kilku minionych dni parokrotnie już musiałem odpowiadać na to pytanie. Przecież ostatnio w naszym gronie mówiło się niemal wyłącznie o tych czekających nas dwóch tygodniach na Ziemi.

– Zamówiłem bungalow nad Pacyfikiem – rzuciłem lekko. – Błękit, trochę białych obłoków, rozpalony piasek i biegnące spod widnokręgu długie fale, pod którymi można nurkować bez zmęczenia całymi godzinami. Słowem *dolce far niente*, nie skażone nawet, jak w twoim wypadku, przekornym i miłym trudem wspinaczki. Przepraszam cię, muszę to odnieść – nie przestając się uśmiechać wskazałem oczami talerz, który trzymałem w lewej ręce, po czym niezwłocznie ruszyłem w stronę srebrzystego bufetu, biegnącego łukiem od bocznej ściany do obłożonego kamieniami ogródka, gdzie wśród rachitycznych palm kwitły wielkie orchidee. Wrzuciłem talerz do promiennika i nie zatrzymując się poszedłem do eskalatora.

Dopiero sunąc już miękko w górę, poszukałem wzrokiem Kirsti. Stała pośrodku sali, otoczona grupką „galaktydów”, jak nazwał nas Dawid Lumb, koordynator Stacji Alberta, w wygłoszonym przed kwadransiem toaście powitalnym. Wiktor trafił w sedno. Tak właśnie powinna wyglądać licealistka po ostatniej lekcji, a przed wyjazdem na obóz w andyjskim rezerwacie, gdzie blask bijący od białych szczytów i wiatr znad wysokogórskich jezior w ciągu dwóch dni zetrą z jej twarzy ślady godzin, spędzonych w domu, w czterech ścianach uczniowskiego pokoju.

Kirsti Langell... Jasne, krótko ścięte włosy, brązowe oczy z drobnymi złotymi cętkami wokół źrenic, smukła, nieco chłopięca sylwetka. Uroda ujmująca raczej, niż niezwykła. Jeszcze na Ziemi, pięć lat temu pytano mnie o nią, bo ludzie byli ciekawi, jak wyglądają kobiety, które wyruszą na taką wyprawę, ale już wtedy zrozumiałem, że gdybym zaczął opisywać jej czoło, brwi, nos, usta, jej pojedyncze gesty, zawsze nieco zaskakujące, to

postawiłbym się w sytuacji głupca, pragnącego oddać piękno symfonii poprzez gerometryczną analizę poszczególnych nut, zapisanych w partyturze. Nikomu chyba nie przysłoby na myśl nazwać Kirsti piękną. O jej urodzie i wdzięku trzeba by mówić najprostszymi słowami, jeśli by się umiało nadać tym słowom ich pierwotną świeżość i odkrywczą, dziecięcą siłę.

Płynąc wciąż wyżej, stopniowo ogarniałem wzrokiem całą salę recepcyjną Stacji Alberta. Była niemal pusta. Trzydziestu ludzi w pomieszczeniu przeznaczonym dla trzystu. Trzech członków tutejszej załogi oraz dwudziestosiedmioosobowa gromadka „galaktydów”, po półrocznym stażu w próżni, wypełnionym na zmianę czujną pracą w komorach stymulatorów, ciasnych kabinach datorów i ciaśniejszych jeszcze sterowniach sond, udająca się na wymarzony ziemski urlop. Po nim czekało nas zaledwie dwadzieścia dni, znowu w pancерnej muszli „Araratu”, na orbicie Marsa. Trzy tygodnie. Przelotna chwilka w porównaniu z pięcioletnimi przygotowaniem na wyspach Antarktyki, no i z ostatnim półroczem; końcowy szlif, bo już nawet nie trening, bezpośrednio poprzedzający moment STARTU.

I wreszcie pionierska podróż, obliczona na trzydzieści lat. Podróż, której zazdrościł nam każdy Ziemianin, a o której my wiedzieliśmy już, że niezależnie od szans powodzenia, ponoć nie małych, oraz szans powrotu, także – przynajmniej głośno – przez nikogo nie kwestionowanych, będzie nieustającym pasmem morderczej pracy i udręki, przeplatanych, przy odrobinie szczęścia, wielkimi, choć może sekundowymi olśnieniami.

Zaraz znajdę się na wyższym piętrze i przestanę ich widzieć. Lukas Page powiedział właśnie coś, co Kirsti powitała wybuchem śmiechu. Prześliznąłem się wzrokiem po twarzach pozostałych. Bengt Salmia, Nik Reilly, Oleg Dikin, Wiktor, Lukas, Arnolf Bieler... Mężczyźni, otaczający obie nasze kobiety, Kirsti i Jane Fowler, sprawiali takie wrażenie, jakby nagle przypomnieli sobie, że różnica płci może łączyć nie tylko poprzez wspólną fascynację cywilizacjami Galaktyki i jakby to odkrycie w jednej chwili odmłodziło ich o wszystkie ostatnie, wspólnie spędzone lata.

Wyglądali na uszczęśliwionych i to mnie cieszyło. Lubiłem ich. Nigdy też, jeśli nie liczyć pierwszych tygodni, nie odczuwałem braku wzajemności z ich strony. Zaakceptowali mnie, wraz z moimi nawykami, tak niezwykajnymi w naszych czasach. Z moją manią nieustannego kontrolowania własnych zachowań, gestów i słów, z moją rezerwą, której w gruncie rzeczy wstydzilem się sam przed sobą i chyba jedynie dlatego nie nazywałem jej w myślach po imieniu: nieśmiałością, wreszcie z moimi ucieczkami, takimi jak w tej chwili. Ale byliśmy wszyscy astronautami, połączył nas kosmos, a to oznaczało, że ta nigdy nie wyrażona słowami przyjacielska umowa między nimi a mną musiała mieć swoje rozsądne granice.

Dzisiaj na przykład nie ośmieliłbym się im powiedzieć, że z jakichś nieokreślonych i pozbawionych rozumowych przesłanek powodów, perspektywa urlopu na Ziemi nie budzi we mnie entuzjazmu. Że wolałbym już pozostać choćby tutaj, by powałęsać się samotnie po księżycowych górach. Nikt nie chciałby lecieć w najdalsze gwiazdy z człowiekiem, przekładającym dzikość martwego globu nad błękit i zieleń ojczystej planety. Nikt bowiem nie miałby pewności, że taki człowiek zrobi naprawdę wszystko, co w ludzkiej mocy, aby wrócić.

Zawsze najlepiej czułem się sam. Dlaczego?

Był czas, gdy uparcie szukałem odpowiedzi na to pytanie. Wraciałem wtedy myślami do tragicznie nonsensownej śmierci rodziców, do stryja, którego dom, potem, nie stał się już nigdy moim, chociaż dom pozostał ten sam, ponieważ najstarszy brat ojca, zaraz po oznajmieniu mi smutnej nowiny, zamieszkał u mnie.

Do dziś nie wiem, czy ten gest skrupulatnego i troskliwego – to muszę przyznać – opiekuna, mający ułatwić mi otrząśnięcie się z głębokiego szoku, jakim dla dwunastoletniego chłopca była utrata najbliższych, stanowił szczęśliwe pociągnięcie. Ale zarówno te

poszukiwania w czasie minionym, jak i naiwne próby zestawiania własnych losów z życiem innych ludzi, tak jakby mógł istnieć jeden klucz do dwóch różnych zamkniętych osobowości, nic mi nie powiedziały, a już na pewno nie wzbogaciły mnie o wiedzę, którą mógłbym spożytkować w praktyce. Dziś tak czy owak czas wytężonej introspekcji należał do przeszłości. Pogodziłem się z sobą i ze światem, do którego należałem, chociaż on nie należał do mnie. Może, gdybym się zakochał... Może, gdyby Kirsti...

Zszedłem z eskalatora i zatrzymałem się pośrodku prześwietlonej słońcem, zupełnie pustej sali trzeciego poziomu Stacji. Niewiele wiedziałem o dziewczynach i miłości, byłem jednak przekonany, że jeśli już ktoś z naszego zespołu miałby się podobać kobietom, to Oleg, Bruno, a przede wszystkim Wiktor. Wiktor Lambert był przystojny, wesoły i pełen życia. Umiał harować jak automat i bawić się jak dziecko. A ja? Ja byłem odludkiem. Zresztą Kirsti pociągała mnie, niepokoiła nawet, lecz nigdy, ani przez moment, jej bliskość nie przejęła mnie ową kojącą, twórczą radością, której istnienie przeczuwałem za ledwie, bo sam dotąd jej nie zaznałem. Może, gdyby ona...

Potrząsnąłem głową i ruszyłem przed siebie. Po chwili stanąłem przed przezroczystą, panoramiczną ścianą sali obserwacyjnej.

Widok był istotnie przepyszny. Stację Alberta osadzono na wysokim skalnym zębie, należącym do krateru Pliniusza. Stanowiła centralny punkt wypadowy dla wycieczek udających się na Mare Serenitatis i Mare Tranquilitatis oraz w otaczające je góry. Tarasowate struktury obu mórz były widoczne jak na dłoni. Z lewej strony horyzont zamykał się płaskim łukiem nad pustynią, z której sterczały pojedyncze kamienne kolce. Z prawej, o wiele bliżej, obejmowała gorejący światłem łąd nieregularna obręcz czerni. Stamtąd szła linia terminatora, a za nią lodowata, księżycowa noc. Zanim spadnie na Stację, nas już nie będzie. Za dziesięć minut zjedziemy na poziom turystyczny i udamy się na lądowisko, gdzie przyjmie nas jeden z tych wymuskanych, komfortowych statków regularnych linii wycieczkowych. Pocisk, przystosowany również do lotów bez żywej załogi, który przywiózł nas tutaj z „Araratu”, jest już zapewne z powrotem w bazie.

Stałem chwilę, wodząc wzrokiem po błyszczących od słońca skałach i czarnych, wydłużonych skrzydłach cienia, po czym odwróciłem się. Z przeciwległej ściany spojrział na mnie patron Stacji, Albert Schweitzer. Duży portret o przygaszonych barwach tkwił w prostych, brązowych ramach. Szpakowata czupryna, wysokie czoło, żywe, pełne lśnienia oczy, przeczące zmęczeniu, które przebijało z ciężkich, obrzmiałych powiek. Mięsisty nos, siwe, sumiaste wąsy. Szlachetna twarz mądrego panteisty z początków kryzysu cywilizacyjnego. Przeczuł rozmiary tego kryzysu, może je nawet przewidział. Próbował zaszczerpić ludzkości antidotum głosząc chwałę pięknej, rozumnej dobroci i własnym życiem przekonując współczesnych o jej sile. Przyszło mi na myśl, że umieszczenie na tym pustkowiu portretu człowieka, tak bezgranicznie związanego nie z Ziemią nawet, ale po prostu z życiem, jest jakimś okrutnym nieporozumieniem, jakąś krzyczącą niesprawiedliwością. Żeby tak dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, musiał patrzeć przez przezroczystą ścianę na martwy, księżycowy krajobraz. „Etyka poszanowania życia”...

Uśmiechnąłem się mimo woli. Co też przychodzi mi do głowy. Schweitzerowi, teraz, rzecz jest z pewnością najdoskonalej obojętna, a w oczach świata liczne ziemskie rezerwy, szkoły i instytuty jego imienia wynagradzają mu z nawiązką tutejsze nie zasłużone wygnanie.

Pod portretem umieszczono tablicę z lakonicznym curriculum vitae myśliciela i świetlny napis: „Postępować ze świadomością mądrej, lecz bezgranicznej odpowiedzialności wobec wszystkiego, co żyje”.

To chyba dobrze, że ludzie, wyruszając w kosmos, zabrali ze sobą tę myśl wielkiego, starego humanisty. Czyż nie była ona jakby przeznaczona specjalnie dla nas, przyszłych realizatorów programu „P – G”? Mogła, a kto wie, czy nawet nie powinna stać się naczelnym

hasłem wyprawy. Brzmiało ono zresztą bardzo podobnie, przynajmniej jeśli chodzi o słowa. „Nieograniczona odpowiedzialność wobec Ziemi”. Można i tak. Należałoby sobie tylko życzyć, aby istotny sens obu tych sformułowań okazał się zbieżny, kiedy naprawdę odkryjemy inne żywe światy.

Pod boczną ścianą sali, przed wąskim eskalatorem prowadzącym na wyższe piętra, mieszczące pracownie i obserwatoria Stacji, ustawiono ogromną planszę z mapą oraz skrótową charakterystyką etapów naszej podróży. U góry napisano rozstrzelonymi literami: P – G, Pierścień Galaktyki, pierwsza w dziejach wyprawa człowieka do kosmicznych braci. Niżej, przez świecące słońca i konstelacje przestrzennego modelu naszego gwiazdnego dysku, biegła żółta linia, tworząca zamknięty owal. Jaskrawe punkty wskazywały miejsca zamierzonych rekonesansów. Oczywiście tam, gdzie tor naszej drogi uciekał w głąb, zaznaczono jedynie orientacyjne odległości między postojami, tak żeby łączna suma tych ostatnich zgadzała się z planem. Nikt przecież nie wiedział, co zastaniemy po przeciwnej stronie dysku Galaktyki, a raczej jej płaszczyzny, ponieważ mieliśmy lecieć po promieniu, stale w odległości trzydziestu dwóch do trzydziestu czterech tysięcy lat światła od jądra. Chodziło o zbadanie gwiazd leżących na orbitach zbliżonych do słonecznej, z których większość musiała powstać we wstęgach ramion spiralnych w tym samym mniej więcej czasie. Inaczej mówiąc, mieliśmy odbyć drogę podobną w przybliżeniu do drogi Słońca, którą przemierza ono w ciągu dwustu pięćdziesięciu milionów lat. Z tym że Słońce biegnie ze ściśle określoną szybkością, natomiast wyprawę „P – G” opisywały odległości, kursy kątowe z tysiącami poprawek, lecz w żadnym wypadku czas, jako jeden z wymiarów kontinuum wszechświata. W naszej bibliotece specjalnie umieszczono dzieła z dwudziestego i początków dwudziestego pierwszego wieku, których autorzy, żyjący w przededniu rozwoju i praktycznych zastosowań geoniki, a nawet już w dobie Krentza i Barcewa, udowadniali, że człowiek nigdy nie będzie w stanie przekroczyć szybkości światła. Ta lektura miała nas zapewne podnieść na duchu i zaszczerpić w nas wątplenie we wszelkie bariery, wskazywane przez współczesną naukę. Choć, rzecz jasna, żadna z nich nie dotyczy czasu. Nawet przecież na te trzydzieści lat, które miała trwać nasza podróż, złożą się jedynie okresy hamowania, rekonesansów, penetracji i wreszcie ponownego rozpędzania do prędkości progowej. Nie licząc godzin, spędzonych na miłych pogawędkach w miejscach eksploracji. Tych miejsc było w sumie sto dwadzieścia. Po trzy miesiące na każde.

U dołu planszy znajdowała się krótka legenda. Pierwsza wyprawa załogowa, wyruszająca z konkretnym i jedynym celem, którym jest nawiązanie kontaktu z innymi cywilizacjami. Pierwsza – tak daleka. Pierwsza skierowana nie ku środkowi Galaktyki, lecz po jej obrzeżu, torem biegnącym stale szesnaście do siedemnastu tysięcy lat światła od jej krańców. Pierwsza z realnymi szansami, właśnie ze względu na obraną trasę. Cywilizacji podobnych do ziemskiej warto bowiem szukać, przynajmniej na razie, głównie w rejonach słońc takich jak nasze, na peryferiach mgławicy. Twórcy programu „P – G” nie mówili zresztą o szansach. Byli pewni powodzenia, o czym świadczyły dalsze punkty legendy, załączonej do planszy. Dotyczyły one uniwersalnego języka technologicznego, porządku, w jakim nastąpi uzgadnianie podstawowych pojęć, oraz... ostrożności.

Rozległ się dyskretny, dźwięczny sygnał. Ciepły alt wezwał przybyszów z „Araratu” na poziom pasażerski.

Oderwałem wzrok od gwiazd, migoczących w trójwymiarowym modelu nieba, omiotłem pożegnalnym spojrzeniem krajobraz za panoramiczną ścianą, w połowie zagarnięty już przez nadchodzącą noc, po czym skierowałem się ku eskalatorowi.

Rozstaliśmy się na głównym peronie Centralnego Dworca Atlantyckiego, rzuconego wielopłaszczyznową bryłą na zawsze spokojne wody Zatoki Kadyksu. Kirsti odlatywała na północ. Kiedy ją mijałem, usłyszałem, jak mówi do Wiktora:

– Będę żeglować po jeziorze, Kanale Gotajskim i po morzu. Nie miałbyś ochoty wpaść na dzień lub dwa? Znad Loary to przecież pół godziny drogi. Adres: rezerwat Wener, wyspa Gosie. Mamy tam domek, takie pudełeczko przyklepione do niewielkiej skały, ale znajdziesz w nim komplet sprzętu podwodnego i żeglarskiego. A w każdym razie zapewniamy naszym gościom dużo wody do pływania.

– Może wpadnę, dziękuję – Lambert przytrzymał chwilę jej dłonie, po czym puścił je, odwrócił się i zobaczył mnie.

– Powodzenia, galaktydo! – krzyknął wesoło. – A strzeż się Komanczów.

– Nie ma ich po zachodniej stronie Sierra – wpadłem w jego ton. Wciąż uśmiechnięty, pożegnałem Kirsti i poszedłem prosto w stronę mojego statku, którego odlot z sąsiedniego peronu zapowiedział właśnie obojętny głos automatu.

Nikt mi nie towarzyszył. Jane, Dag Blandon i Bruno Churfelt lecieli wprawdzie w tym samym kierunku, ale nie dalej niż na Florydę, musieli więc wsiąść do innego trioplanu. Zaledwie trzech członków naszej wyprawy kierowało się na Wschód. Oleg Dikin, Paweł Kurski i Arnolf Bieler. Zabawne. Trzeba było takich okoliczności jak ta, aby uprzytomnić sobie, że tu, na Ziemi, należymy do przeciwstawnych obozów. „Wschód” był, rzecz jasna, pojęciem umownym, nie tylko w sensie geograficznym. Dzielące nas różnice nie były umowne, chociaż od likwidacji ostatniego wielkiego koncernu, czyli od stu mniej więcej lat, oficjalne, a tym bardziej prywatne stosunki między wszystkimi ludźmi zostały oczyszczone z trujących cierni wzajemnej nieufności. Ale na przykład Oleg, kiedy znajdzie się u siebie, pójdzie do banku, by oddać pieniądze, niepotrzebne mu w codziennym życiu. Ja przeciwnie, nie miałem ich w kosmosie, lecz teraz nie mógłbym bez nich spędzić urlopu nad Pacyfikiem. Inicjatorem naszej wyprawy był Zachód. Wschód stał na stanowisku, że myśl jest, owszem, interesująca, ale na razie mamy jeszcze zbyt wiele do zrobienia w kręgu własnej cywilizacji. Aby jednak okazać dobrą wolę, uczestniczył w opracowaniu programu „P-G” i w przygotowaniach, a wreszcie wydelegował do załogi trzech swoich przedstawicieli.

Po dwóch przesiadkach wylądowałem na małym dworcu, pomiędzy brzegiem oceanu a bielejącymi nad pasem zieleni zabudowaniami Santa Rosa. Kiedyś znałem w tej okolicy każdą ścieżkę, jednak przez ostatnie pięć i pół roku krajobraz bardzo się zmienił. Myliły przede wszystkim regularne, szerokie wstęgi lasów, wyrosłych na dawnych, wielopasmowych tachostradach. Gdybym zamierzał udać się na zachód, w stronę Gór Nadbrzeżnych, by potem, przekroczywszy Dolinę Kalifornijską dotrzeć do rodzinnego domu, leżącego opodal Carson City, u stóp Sierra Nevada, musiałbym szukać pomocy automatów, aby nie zabłądzić. Nad ocean dotarłem jednak bez trudu. Po drodze minąłem trzy letniskowe wioski, których niska zabudowa uderzała dysharmonią między nowoczesnością ptasich konstrukcji a ich pseudoklasycznym wystrojem, polegającym głównie na dolepianiu do pastelowych daszków trójkątnych, wydłużonych attyk oraz na zdobieniu frontonów, tarasów i ogrodów chudymi kolumnadami. Moda na Starą Grecję w budownictwie zaczęła się jakieś dwadzieścia lat temu, właśnie od architektury letniskowej, by przeorawszy mniejsze osiedla utknąć na szczęście przed progami wielkich miast, zanim klan współczesnych Kallikratesów i Hippodamosów zdążył upamiętnić się nowymi dzielnicami lub przeróbką gmachów dawnych parlamentów. Osiągnąwszy brzeg odprawiłem autofon i, brnąc w miążskim piasku, poszedłem nad samą wodę, tam, gdzie ruchliwymi wstążkami białej piany sięgały pojedyncze języki fal, bijących wolnym, majestatycznym rytmem. Pobiegłem wzrokiem po kres horyzontu, a następnie wolno przechyliłem się do tyłu, zatrzymując spojrzenie w czystym błękitie wprost nad sobą. Pozostałem jakiś czas w tej pozycji, z oczami pełnymi blasku, wsłuchany w głęboki huk oceanu, po czym odetchnąłem głęboko, poczułem lekki zawrót głowy i nagle zdałem sobie sprawę, że jestem na Ziemi. Rzuciłem na piasek moją lekką, brązową torbę, służącą mi wiernie od tyłu już lat, rozebrałem się i wbiegłem do wody. Była dość chłodna. Rozgrzałem

się, prac całą siłą mięśni pod fale, następnie przepłynąłem czałkiem jakieś sto metrów i wreszcie zacząłem nurkować.

Wyszedłem po dwudziestu minutach świeży, młody i jakby pocieszony po jakiejś przelotnej przykrości, której przecież nie zaznałem, a w dodatku zgłodniały. Włożyłem ubranie na mokre ciało i puściłem się biegiem. Zaraz za pierwszą zatoczką ujrzałem przed sobą małą przystań, osłoniętą półpiersienniem kamiennego falochronu. W basenie, obok dwóch większych lotek, kołysały się pozbawione żagli maszty śmigłych jachtów. Na jasnozielonym budynku, zamykającym po przeciwnej stronie wąską płaszczyznę kei, widniał napis: AITHEROPOL. Byłem na miejscu.

Zatrzymałem się, przyglądziłem nastroszone włosy i stwierdziwszy, że zdążyłem już wyschnąć, zacząłem iść w stronę kolorowych domków, przylepionych do niewysokiego, zielonego wzgórza. Za wzgórzem i domkami, w odległości mniej więcej kilometra, ciemniała wysoka, stroma skarpa, a raczej gliniasto-skalne urwisko, porośnię niską trawą i poprzerzynane głębokimi, wąskimi parowami, odbiegającymi w głąb lasu.

Przeciąłem plażę i wszedłem na dróżkę wspinającą się łagodnie wśród kwitnących kaktusów, twarolistnych krzewów makii, pojedynczych eukaliptusów, karłowatych sosen i rozłożystych, wypielęgnowanych palm. Od głównej alejki odbijały w regularnych odstępach wysypane żwirem ścieżki, ginące w zaroślach, przez które momentami prześwitały lśniące szyby domków. Na skrzyżowaniach umieszczono małe, dyskretne tabliczki z numerami. Przy liczbie dwanaście skręciłem, przeszedłem jeszcze jakieś pięćdziesiąt kroków i stanąłem przed niskim, jasnobezowym bungalowem. Był on, rzecz jasna, zwieńczony miniaturową attyką, ozdobioną dodatkowo wklęsłym reliefem, przedstawiającym z powodów znanych jedynie jego rozmiłowanemu w grecczyźnie twórcy typowy asyryjski rydwan bojowy. Z boku, od strony plaży, przylegał do budynek dość szeroki taras obudowany białymi kolumnkami, podtrzymującymi plastikowy daszek. Z tarasu można było zejść po kilku niskich stopniach na trawiasty chodnik, wpadający dalej w pergolę, gęsto obsypaną kwiatami glicynii.

– Dzień dobry – zabrzmiał matowy głos. – Pan Lindsay Hagert, prawda?

– Tak, to ja – potwierdziłem, uśmiechając się do robota, który wyszedł na taras. – Widzę, że dobrze trafiłem?

– Oczywiście, proszę pana. Wszystko jest przygotowane – cofnął się, żeby mnie przepuścić. Przeszedłem między dwiema kolumnkami, minąłem go i wszedłem do pokoju, obszerniejszego, niż mogłoby się zdawać komuś patrzącemu na domek z zewnątrz.

– To jest hall, służący zarazem jako living room – usłyszałem za sobą usłużny głos. – Drzwi na lewo prowadzą do łazienki. W tej wnęce – wskazał zgrabnie wymodelowanym wysięgnikiem ciemną niszę, stanowiącą przedłużenie pokoju – mamy automatyczną kuchnię. Naturalnie nie musi pan z niej korzystać. Jesteśmy podłączeni do centralnej sieci aprowizacyjnej, a troska o posiłki należy do mnie. Na górze – zwrócił się w stronę krętych, drewnianych schodków – jest pokój kąpielowy z małą sauną i dwie sypialnie. W jednej z nich, z oknami wychodzącymi na ocean, przygotowałem panu pościel, trochę nowości wydawniczych i przedmioty osobistego użytku. Ale, gdyby pan sobie życzył, mogę to wszystko od razu przenieść do drugiego pokoju.

– Nie przenoś. – uśmiechnąłem się znowu. – Lubię patrzeć na morze. Jesteś bardzo troskliwy.

– To mój obowiązek – rzekł nie zmienionym, monotonnym głosem.

– Czy wszystkie formalności są załatwione? – spytałem.

– Tak, proszę pana. Instytut Galaktyczny przysłał bardzo dokładne zamówienie. Na górze leży także wyciąg z pańskiego konta. Ma pan opłacony pobyt z pełnym utrzymaniem oraz prawem korzystania ze sprzętu pływającego. Mam nadzieję, że będzie się pan dobrze czuł w Aitheropolu.

– Na pewno dobrze. Dziękuję...

Aitheropol. Nazwa osiedla oczywiście także pochodziła z okresu mody na „stare Ateny”. Miasto „eteru”. Pierwotnej substancji, wypełniającej wszechświat, piątej, po czterech żywiołach, zasady bytu oraz źródła życia. Rzecz jasna, w wyobrażeniach starogreckich myślicieli, a nie współczesnych architektów.

Po obiedzie, smacznym i urozmaiconym sałatkami z żywych, zielonych jarzyn, poczułem się senny. Zaczęły dawać o sobie znać podróż, nagłe zmiany klimatów, a nade wszystko pierwsza od lat prawdziwa morska kąpiel. Usiadłem w fotelu pod oknem, przez chwilę patrzyłem ponad szczytami palm na ocean i plażę, która, jak to dopiero teraz spostrzegłem, od strony tarasu dochodziła niemal pod sam domek, po czym zamknąłem oczy.

Kiedy się obudziłem, niebo nad poszarzałym horyzontem nabrało barwy głębokiej, matowej czerwieni. Zerwałem się, przestraszony, z poczuciem winy. Wydawało mi się, że przegapiłem swoją kolejkę w kabinie datorów lub moment startu sondy. Odwróciłem się błyskawicznie i ujrzałem komfortowy pokój z nielicznymi miękkimi meblami. Zwabiony moim ruchem robot zjawił się jak spod ziemi i zapalił ukryte lampy, których łagodne światło zagrało w szybach uchylonych okien.

Oprzytomniałem. Zacząłem urlop. Przede mną jeszcze pełne dwa tygodnie. Dwa tygodnie nieustannych zaskoczeń czy tylko nudy?...

– Pozwoli pan podać teraz kolację? Potem doradzałbym krótki spacer. O tej porze powietrze jest bardzo zdrowe.

– Masz rację – powiedziałem. – Kiedyś mieszkalem niedaleko stąd. Przyjeżdżaliśmy na wakacje w te okolice. Wtedy mówiono mi to samo. Ponadto musiałem spacerować wcześniej rano.

– Nasz Aitheropol powstał siedemnaście lat temu – zauważył robot. – Jeśli pan...

– Nie, to było dawniej – przerwałem mu. – Wtedy na tym wybrzeżu pokazywano mi jeszcze miejsca, gdzie niegdyś stały domy wielkiego miasta oraz ruiny portu. Ludzie, zanim zmądrzeli, budowali dosłownie wszędzie, nie oglądając się ani na przyrodę, ani na jej rolę w ich własnym życiu.

– Tak, oczywiście – odrzekł uprzejmie i oddalił się, aby przynieść kolację.

Odprowadziłem go wzrokiem. Co mnie podkusiło częstować go banałami, jakich dziś unikają już nawet autorzy szkolnych podręczników historii? I czy potrzebowalem akurat takiego służalczego robota, żeby mówić z nim o własnym dzieciństwie?

Dwadzieścia minut później szedłem ścieżką w kierunku plaży. Wychodząc wysłuchałem jeszcze jednej rady mojej świeżo pozyskanej elektronicznej niańki i narzuciłem na plecy gruby, biały sweter, wliczony w koszt wynajęcia domku. Kiedy jednak znalazłem się na otwartej przestrzeni, owiał mnie ciepły prąd powietrza, płynący od oceanu. Wieczór był niemal upalny. Okrągły Księżyc stał już wysoko nad widnokretem, oblewając wodę i wybrzeże intrygującym blaskiem. Świat wyglądał jak marzenie astronauty, zasypiającego w jakiejś mikroskopijnej klatce tam, gdzie Słońce jest małym, ledwie widocznym punkcikiem na zawsze wygwieżdżonym i zawsze czarnym niebie.

Zamiast iść prosto w stronę brzegu, skręciłem i niebawem dostałem się na twardą drogę, prowadzącą do przystani. Ominąłem lekki, płaski budynek, dotarłem do kei i usiadłem na jej krawędzi, zwieszając nogi nad wodę. Pomimo późnej pory ocean był głośny. Fale szły nieco skośnie, z południa, niosąc na grzbietach srebrnobiałe grzywy. Tylko w obrębie samej przystani powierzchnia wody była spokojna, niemal gładka. Spojrzałem w stronę falochronu, wybiegającego z lądu jakieś trzysta metrów dalej i dostrzegłem na jego zaokrąglonym cyplu drobną, niewyraźną postać, która chwilę później znikła mi z oczu. Samotnik, taki jak ja?

– Czy chce pan wziąć łódkę? – rozległ się moimi plecami przyciszony głos.

– Nie – potrząsałem głową. – Posiedzę sobie po prostu.

– Ummm... tak. Rozumiem... – usłyszałem w odpowiedzi.

Odwrociłem się, zdziwiony. Mruczący automat?

Z mroku zalegającego skrawek kei pod skośnym daszkiem portowego pawilonu wystąpiła wysoka, chuda sylwetka. Pomyliłem się. To nie robot obsługujący przystań oferował mi wieczorną przejażdżkę łódką. Ujrzałem przed sobą starszego mężczyznę w drelichowym ubraniu. Na głowie miał zmiętą, okrągłą czapkę. Podeszedł bliżej, przypatrzył mi się uważnie, po czym zerknął na boki, jakby sprawdzając, czy nikt trzeci nie usłyszy, o czym będziemy mówić i wreszcie usiadł tuż obok mnie, na skraju nabrzeża.

– Można? – bąknął.

– Oczywiście – uśmiechnąłem się, nie przestając lustrować go wzrokiem. Miał taką twarz, jakie widuje się na portretach Vigniego, Boukina oraz pokrewnych im twórców, którzy próbowali streszczać konflikty i doświadczenia minionych epok, zatrzymując bieg czasu w spojrzeniach ludzi, żyjących dłużej niż inni. – Przepraszam. Myślałem, że rozmawiam z automatem – dodałem.

– Niewiele się pan pomylił – mruknął po chwili. Nie patrzył na mnie, tylko prosto przed siebie, tam, gdzie ocean zlewał się z pociemniałym nieboskłonem. – Pracuję tutaj – wyjaśnił.

– Konserwuję roboty. Codziennie dwa. To niewielkie osiedle... A pan przyjechał na urlop?

– Tak. Mieszkam w domku numer dwanaście.

Skinął nieznacznie głową.

– Kiedyś było tu miasto. Jeden dom obok drugiego. Mój ojciec urodził się na pięćdziesiątym drugim piętrze... ale z jego mieszkania nie było widać morza. Zaslaniały je inne wieżowce. Pływał na statku wycieczkowym...

– O mieście słyszałem – powiedziałem. – Jako chłopiec przyjeżdżałem tutaj na wakacje. Pochodzę z tych stron.

– Z wybrzeża? – spytał z nagłym ożywieniem.

– Nie. Spod Carson City. Kapać się jeździłem najczęściej nad jezioro Tahoe.

– Tak – westchnął. – A obecnie mieszka pan gdzie indziej?

– Gdzie indziej – potwierdziłem.

– I dawno pana tutaj nie było?

– Bardzo dawno.

– To musi pan czuć się teraz szczęśliwy. Ludzie zawsze z uczuciem wspominają rodzinne strony i są szczęśliwi, kiedy do nich wracają. Choćby nawet ogarniał ich wtedy także smutek i żal za minionym czasem. Ale czy istnieje szczęście bez smutku?

Ta prościutka sentencja, wypowiedziana w gęstniejącym półmroku zwyczajnie i od niechcenia, jakby chodziło, powiedzmy, o pogodę, stanowiła tak bardzo harmonijne uzupełnienie nastroju, w jaki wciągnął mnie ten wieczór, że powitałem ją mimowolnym uśmiechem. Tak samo mógłbym się uśmiechnąć do jakiejś pięknej, bezpretensjonalnej rzeźby lub skrawka krajobrazu.

– A pan? – spytałem niespodziewanie dla samego siebie. – Czy pan jest szczęśliwy? Przecież pozostał pan w rodzinnych stronach?

– Ja? Nie – odrzekł od razu bez zastanowienia i bez cienia skargi w głosie. – W całym życiu nie przytrafiło mi się nic takiego, do czego dzisiaj mógłbym wracać myślami z poczuciem, że to coś pozwoliło mi poznać smak szczęścia. Nie jestem także nieszczęśliwy. Robię swoje, zdrowie mi dopisuje, a w takie wieczory jak ten lubię popatrzeć na ocean. To wszystko...

– Nie ma pan rodziny?

– Nie mam. Od dziewięćdziesięciu lat, to znaczy, od kiedy opuściłem dom.

– Ja także jestem sam – powiedziałem. – Moi rodzice zginęli, gdy byłem dwunastoletnim chłopcem. Tam – wskazałem ręką Księżyc.

– Rozumiem. Astronauci?

– W pewnym sensie. Właściwie prowadzili badania na Ziemi, ale niektóre obliczenia musieli sprawdzać w stacjach orbitalnych. Bardzo lubili muzykę. Wszędzie zabierali ze sobą kompletną aparaturę sferoramiczną. Właśnie ta muzyka ich zabiła.

– Muzyka... – powtórzył bez zdziwienia.

– Tak. Tego dnia skończyli pracę i postanowili posłuchać jakiejś symfonii. Znajdowali się na stacjonarnej orbicie księżycowej, wewnątrz maleńkiej, idealnie kulistej sondy, pozbawionej własnego napędu. Był pan kiedyś na koncercie sferoramicznym? Rozpętali burzę dźwięków – ciągnąłem, nie czekając na odpowiedź. – Przyszedł rezonans, sonda wpadła w wibracje i rozpadła się na dwie półkule, jak pęknięta piłeczka pingpongowa. Tak przynajmniej brzmiało orzeczenie komisji, badającej przyczyny wypadku.

– Więc to tak – odezwał się po krótkiej pauzie. – Pan także lata?

– Owszem – poczułem suchość w gardle i musiałem odchrząknąć.

– Dlatego nie było pana tutaj tak długo – stwierdził. Znowu pokiwał głową, po czym nie zmienionym tonem zapytał: – A muzyka?

Mimo woli ściągnąłem brwi i spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– Co muzyka?...

– No, czy pan lubi muzykę?...

Umilkłem. Kiedy i jak to się stało? Co spowodowało, że tak swobodnie i niewinnie, a raczej należałoby rzec: bezmyślnie, przekroczyłem ową granicę, która zawsze, także bez udziału mojej woli, wyrastała pomiędzy mną a ludźmi, gdy ci, nawet w najlepszej wierze, dotykali w rozmowie tej nazbyt unerwionej błonki, opinającej sferę uznaną przeze mnie za intymną? Czy nie chciałem nieświadomie wykorzystać obcego mi przecież człowieka, ponieważ on miał już wszystko za sobą? Ale jego ostatnie pytanie otwierało drogę, która wiodła w ślepy zaułek. Gdybym mu wyznał, że nigdy dotychczas nie rozmawiałem z nikim tak jak z nim, powiedziałby zapewne „to dlatego, że obydwaj jesteśmy samotni” albo coś podobnego. I znowu musiałbym zamilknąć.

Cisza przeciągała się i wreszcie nadeszła chwila, kiedy nie mógł już oczekiwać odpowiedzi. Wtedy uśmiechnąłem się do niego.

– Często przychodzi pan tutaj o tej porze?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI